

ANNA DYMNA

Trady przede wszy

Boże Narodzenie to dla Anny Dymnej, prezesa Fundacji „Mimo wszystko”, bardzo intensywny okres. **Zawsze znajduje jednak czas, żeby własnoręcznie przygotować wigilijną wieczerzę, zrobić z przyjaciółmi piękne anioły na choinkę i wysłać w świat tysiące życzeń. To najlepszy moment, aby się zatrzymać w biegu, uśmiechnąć i spojrzeć sobie w oczy.**

KOCHANI CZYTELNICY
 ♡ TELE TYGODNIA !!!
 ŻYCZĘ WAM CIEPŁYCH I SPOKOJNYCH
 ŚWIAT BOŻEGO NARODZENIA
 W GRONIE PRZYJACIÓŁ I RODZINY -
 PEŁNYCH MIŁOŚCI I RADOŚCI ♡
 NA NOWY ROK PRZESYŁAM DOBRE
 DYMNE MYŚLI. BĄDZIEcie SZCZĘŚLIWI!
 CAŁUJĘ MOCNO

Anna
 Dymna

- Zaraz po Wigilii w domu, jędo do moich podopiecznych. Razem śpiewamy koledy, a potem idziemy na pasterkę - mówi.

cja stkim...

Boże Narodzenie to czas wyjątkowy. Jak wygląda on w Pani w domu? Co przetrwa – tradycja czy nowoczesność?

– U mnie święta zawsze wyglądają tak samo. I, póki żyję, zrobię wszystko, aby nic się nie zmieniło. Żadna nowoczesność mi tego nie zepsuje. Wiem, że teraz wszystko można kupić. A ja – na przekór współczesnym modom – to, co się da, robię sama. Własnoręcznie two-

rze zabawki na choinkę. Niczego nie kupuję. No, może z wyjątkiem światełek.

Przed każdą Wigilią przygotowuje Pani nowe ozdoby?

– Pewnie! Już w dzieciństwie robiłam zabawki na choinkę. Nasz dom od listopada zamieniał się w pobjawisko, bo wszyscy robiliśmy zabawki. Nie wiem, jak moja mama to wytrzymywała? Najpierw było błaganie: „Mamusia, zrobisz jajecznicę?”. Chodziło o to, żeby mieć jak najwięcej wydmszek. Baniczki, które się stłukły poprzedniego roku, ubijano się młotkiem w papierku, klejem smarowało się wydmszkę i posypywało ją brokatem. I tak powstawały błyszczące rybki. Tworzyło się też inne cudenka – krasnale w okularach, liski, kwiaty, kotki, królowy, kołczaste języki z bibulki. Robiliśmy łańcuchy z kolorowych papierów. Były wstętnie, ale mama mówiła, że są piękne i wieszala je na choince. Kiedy mój syn był mały, robiliśmy dokładnie to samo. Wciąż mam czarownicę z futrzanymi włosami i wstętną mordą, która przez 20 lat straszyla u nas na choince. Do tej pory mam książkę, z której wtedy korzystaliśmy: „Zrób sam zabawki na choinkę”.

Jednym słowem, tradycja rodzinna jest kontynuowana...

– Tak. W dodatku ją rozwijamy. Od kilkunastu lat robimy aniołki i szopki z masy solnej. Cudem znajdujemy dzień, który wszystkim pasuje. Przychoǳą przyjaciele i rodzina.

Każdy przynosi wino i bakalie. Siadamy przy stole i godzinami rozmawiamy, sączymy wino, lepimy aniołki, wypiekamy je w piekarniku, potem malujemy akrylami.

Czas na chwilę się zatrzymuje. Jest wesoło i bardzo twórczo. No i mamy fantastyczne prezenty na święta. Mój bratanek potrafi zrobić aniołka w każdej postaci – aniołek goły, aniołek śpiący, aniołek stojący, aniołek wiszący, itd. Uczymy się od niego i jesteśmy coraz sprawniejszymi producentami aniołków. Wyciskam do czaszki robimy aniołom piękne włosy. Ja jestem specjalistką od szopek. Oto jedna z nich: Józef, Maryjka, Jezusek i parę zwierzątek stoi na tle dużej krowy, która trzyma ich ogonem. To jest taka „Dym-

na szopka”. Na aukcję do radiowej Trójki zrobiłam kiedyś taką choinkę z ptaszkami, gwiazdkami, wiewiórkami, biedronkami. Wszystkiego było po trzy, tylko Święta Rodzina była pojedyncza. Osiągnęła wysoką cenę.

Zdarza się Pani wyjeżdżać na święta?

– Nigdy. Mam poczucie, że na święta powinnam być w domu. Najpierw odwiedzam groby, stroję na nich drzewka. Nie wierzę, że człowiek tak do końca umiera. Chcę, żeby każdy wiedział, że się o nim pamięta. Do Wigilii zasiadamy albo u mojego brata, albo u mnie. Potrawy są niezmiennie. Nie wprowadzamy żadnych innowacji. Po śmierci rodziców stałam się główną specjalistką od kutii. Pszenicę kupuję wcześniej na placu. Nauczylam się, że najpierw trzeba ją dobrze wypłukać, namoczyć, a potem wielokrotnie gotować. Mak miałem czterokrotnie, bakalie zawsze kroję ręcznie.

To wymaga olbrzymiej cierpliwości i czasu...

– I o to chodzi. Właśnie na tym polegają święta. Trzeba wszystko robić powoli, dokładnie, z wielką radością i zawsze z kimś. Kutię zawsze robię z moim synem Michałem. Uwielbiam przyrządzać z nim potrawy. Nauczyłam go gotować. Dziś ma 25 lat i świetnie radzi sobie w kuchni. Od sześciu lat już z nami nie mieszka, dzięki czemu nauczył się samodzielności.

Nie robi Pani świątecznych zakupów w galeriach handlowych...

– Przepraszam, ale nienawidzę supermarketów, a jak wchodzę do galerii handlowej, od razu jestem chora. Ludzie wpadają w manię kupowania, a ja chodzę bezradna i nigdy niczego nie kupię. Po co to szaleństwo? Ja mu nie ulegam. Oczywiście kupuję prezenty – w tym roku zaplanowaliśmy z mężem, że sprawimy sobie dymlionki na nalewki. Kupuję oczywiście choinkę, choć przed domem mam ich pełno. Niektóre ubieram. Zawsze się przy tym denerwuję, bo światełka, które się kupuje – niby najlepsze – na drugi rok już nie chcą działać, więc się je wyrzuca i kupuje nowe.

W Wigilię zwierzęta przemawiają do Pani ludzkim głosem?

– Moje koty porozumiewają się ze mną przez cały rok. Czacza ma 15 lat, Haszysz – 10. Jest jeszcze Hamlet, którego uratowałam. To kot wewnętrzny, który cały czas zagląda przez okno. Koty w ogóle do nas iǳną. Haszysz, jako mały kociak,

był najlepszym zdobywcą gwiazdy. Rozpedzał się i już był na szczycie. Czasem cała choinka się przewracała. Teraz jest już dojrzały, więc tego nie robi. Ale Czacza, mimo swego wieku, uwielbia zacząć się na jakąś bombeczkę. Pach, pach – potrąca ją łapką, żeby spadła. I wyraźnie się śmieje pod wąsem. Koty chyba też lubią święta.

Od lat opiekuje się Pani osobami niepełnosprawnymi intelektualnie, więc święta to dla Pani czas bardzo intensywny, bo i rodzina jakby większa...

– Zaraz po Wigilii w domu, jadę do moich podopiecznych, którzy mieszkają w Schronisku Brata Alberta w Radwanowicach. Razem organizujemy co roku widowisko plenerowe z pochodniami. Idzie z mną Maryja i Jezus, są pasterze i anioły, gospodarz, co nie chce wpuścić ich do domu. Śpiewamy kolędy. A ja z mężem czytam piękne wiersze o Bożym Narodzeniu. Potem się rodzi Jezusek i idziemy na pasterkę.

Co jeszcze się zmieniło, odkąd prowadzi Pani Fundację?

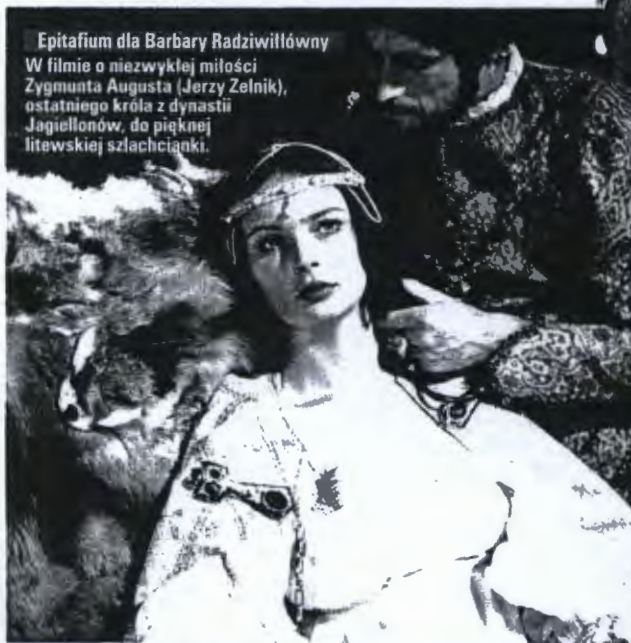
– Wysyłam więcej życzeń. Kiedyś pisałam kartki odręcznie. Teraz, kiedy trzeba je wysłać do tysięcy osób, jest to niemożliwe. Przed świętami, jak się ma Fundację, jest strasznie dużo pracy – aukcje, oplatki, Mikołaje, ak-

cje, np. „Anny dla Anny Dymnej” – nietypowe, lekko spóźnione imieniny, podczas których znane Anny z Warszawy wspierają działalność Anny z Krakowa i zbierają pieniądze dla podopiecznych fundacji „Mimo wszystko”. Tym razem gromadziliśmy fundusze na mieszkanie dla Kasi, która cierpi na zespół Jadassona i na protezę dla Amandy. Co jeszcze? Wszyscy chcą mieć wywiad na święta, bo wtedy wypada rozmawiać o czymś dobrym. Lubię święta, bo to czas, który daje nam szansę, żeby popatrzeć sobie w oczy, wyjaśnić nieporozumienia, uśmiechnąć się. Tradycja i święta uczulowiczają. Przypominają nam, jak bardzo potrzebujemy siebie.

Co pojawia się na tych kartkach świątecznych?

– Życzenia układam tak, żeby przy okazji wyrazić moją wdzięczność naszym dobroczyńcom, którzy nas wspierają i ufają nam. Za ich sprawą możemy choć trochę zmienić życie ludzi niepełnosprawnych. Dzięki nim ci ludzie mogą się uśmiechać. Zawsze im życzę, aby ten uśmiech do nich wracał ze zdwojoną siłą. Najważniejsze, żeby człowiek czuł się potrzebny, szczęśliwy i nigdy samotny.





Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny
W filmie o niezwykłej miłości Zygmunta Augusta (Jerzy Żelnic), ostatniego króla z dynastii Jagiellonów, do pięknej litewskiej szlachcianki.

■ Czuję się Pani szczęśliwa?
– To coś niewiarygodnego, jakie ja mam szczęście! Tyłu ludzi mi ufa. Dzięki kampanii jednego procenta w zeszłym roku nazbierałam prawie 12 mln złotych! Dzięki ludziom, którzy przekazali jeden procent podatku na rzecz mojej Fundacji, kończymy budować Dolinę Słońca w Radwanowicach. Kiedy tam wchodzi, nie chce mi się wierzyć, że tak narozbrałam. Przepiękny ośrodek – warsztaty terapeutyczne, sala gimnastyczna, sala prób i malutki teatrzyk.

■ Oprócz Jasełek wystawiaacie też inne przedstawienia...
– Przygotowujemy jedno przedstawienie rocznie. Muzykę do nich komponuje Andrzej Żarycki, Maciej Wojtyśko pisze teksty piosenek. Prapremierę mamy zawsze w marcu w Teatrze Słowackiego, gdzie odbywają się finały Albertiany. Nie miałam jeszcze Fundacji, kiedy zaczęłam robić ten Ogólnopolski Festiwal Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych. Przed nami 11. edycja! Osoby niepełnosprawne intelektualnie nie mają szans na czerwcowym Festiwalu Zaczarowanej Piosenki, w której biorą udział osoby naprawdę utalentowane, śpiewające na równi z gwiazdami. Wygrywają tylko najlepší. Chciałam, żeby ludzie niepełnosprawni intelektualnie też swój festiwal mieli.

■ Pani stara się pokazać, jak wiele możemy się od nich nauczyć...
– Głównym celem mojej Fundacji jest walka o godne życie dla

osób niepełnosprawnych. Pragniemy usunąć bariery, które tkwią w naszej świadomości. „Biedny!” – myślimy o niepełnosprawnych. Tymczasem to naprawdę dzielni ludzie. A daś Pieszczych, jeden z pierwszych moich rozmówców z programu „Spotkajmy się”, został radnym w Opolu! Jeździ na wózku, ale jest niesłychanie wesółym człowiekiem. Będzie mógł zdziałać wiele dobrego, bo jest wiarygodny. Kiedy ja mówię w imieniu niepełnosprawnych, to niektórzy być może powątpiewają: „Młoda, szczęśliwa, bogata, co ona wie?”. Bo aktorzy zawsze są młodzi, zdrowi, szczęśliwi, bogaci i... piękni (śmiech).

■ Czego nauczyli Panią jej niepełnosprawni przyjaciele?
– Dzięki nim poznałam największe tajemnice człowieka. Bo niepełnosprawni, chorzy, umierający szybciej te tajemnice odkrywają. Czesław Miłosz powiedział mi kiedyś, że on musiał 90 lat przeżyć, żeby coś zrozumieć, a w moim programie młoda dziewczyna na wózku już to wiedziała.

■ Dlaczego, jak Pani sądzi?
– Dlatego, że my, żyjąc w pędzie, wielu rzeczy nie zauważamy. Często biegamy spazmatycznie za naszymi pragnieniami, deptając po drodze skarby, wartości i uczucia. A gdy już dogonimy to upragnione szczęście, czasem okazuje się, że było ono tylko naszym urojeniem, a to prawdziwie przydeptyliśmy gdzieś w pośpiechu. Ludzie przykucają do wózków, cierpiący, chorzy



Nie ma mocnych Serca widzów podbiła rolę Ani – wnuczki wiecznie skłóconych Karguła i Pawłaka.

Licencja na wychowanie
Jako nietypowa babcia, na której zrozumienie zawsze może liczyć jej wnuk, Bartus.

szybciej odkrywają prawdziwe wartości. Niezależnie od tego, czy rozmawiam z osobą chorą na Parkinsona, z rakiem mózgu, czy z cukrzycą, po 10 minutach mówimy zawsze o tym samym – przyjaźni, miłości, samotności. Kiedy jest ktoś obok, nawet umierać można z uśmiechem. Dzięki nim widziałam takie cuda, że nawet śmierć ze swoim smutkiem i tragedią jest skompromitowana.

■ Pani podopieczni i rozmówcy są pełni życia, radości...
– Dlatego, żeby to pokazać, robię czasem tak spektakularne wydarzenia jak wyprawa na Kilimandżaro. Bo jakimi słowami mówić, że w tych ludziach jest siła? Kiedy dziewięć osób niepełnosprawnych podjęło wyprawę na Kilimandżaro, a pięć z nich weszło na szczyt, to nic nie trzeba było mówić. Do tej pory grupa dzielnych Polaków wzbudza podziw w Afryce. Nie ma szczytów nie do zdobycia. Trzeba tylko wierzyć we własne siły i nie rezygnować z marzeń.

■ A czy Pani udało się ostatnio spełnić jakieś swoje marzenie?
– Tak. W dzieciństwie miałam album ze zwierzętami. Najbardziej podobał mi się hipopotam. Marzyłam, żeby kiedyś zobaczyć go na

wolności. Udało się! W tym roku razem z moją rodziną i przyjaciółką wyruszyliśmy na wyprawę do Kenii w Afryce. Wydawało mi się, że jestem na innej planecie.

■ Który moment tej afrykańskiej podróży okazał się najpiękniejszy?
– Najbardziej wzruszająca była wizyta w sierocińcu dla słoni. Kiedy ktoś zabije słonice, jej małe skazane jest na śmierć. Aby ratować słoniątka, powstało specjalne towarzystwo, które je wylapuje i umieszcza na farmie. Każdy słonik dostaje rodzinę zastępczą, czyli... Masaja, który jest dla niego mamą i tatą. Mieszkają w domku, gdzie jest łóżecko dla Masaja i kocyk dla słonika. Masaj zajmuje się swoim „dzieckiem” od świtu do nocy. Rano idzie z nim do dżungli, pokazuje, co ma jeść, czego się bać. Potem odbywa się karmienie. Słonie dostają butelkę specjalnie wyprzeżonego mleka. Każdy słonik podchodzi do swojego Masaja i pije mleczko lapczywie i pociesznie jak prawdziwe dziecko.

■ Czym jeszcze zachwyca Panią ten kraj?
Wielkie wrażenie zrobili na mnie Masajowie. To ludzie o pięknym spojrzeniu, wolni i dumni. Widziałam, jak mieszkają – żadnych sprzętów, tylko wnętrza, gdzie śpią na rzeczach, w których chodzą za dnia. Kiedy się jeździ po świecie, nabiera się pokory. Człowiek zaczyna zastanawiać się, czym naprawdę jest szczęście i dobrobyt? Z naszej perspektywy patrząc, są strasznie biedni, a przecież wyglądają na szczęśliwych! W Afryce moje pojęcie – szczęścia, wolności, piękna, radości – bardzo się poszerzyło. Muszę tam znowu pojechać.

■ Nie było to więc pożegnanie z Afryką...
Marzę o tym, żeby pojechać na północ Kenii, do Turkany, gdzie został odnaleziony praczołwiek. Trzeba mieć na tę wyprawę 18 dni i jest ona dosyć niebezpieczna. Pojadę tam. Muszę tylko nazbierać pieniądze i wyrehabilitować kregosłup, żebym wytrzymała tę podróż. Trzeba być zdrowym, żeby jeździć. Chociaż, jak patrzę na moich przyjaciół na wózkach, którzy weszli na Kilimandżaro, przestaję się martwić. Tylko dzięki nim odważam się na wszystko.

Rozmawiała EWA JAŚKIEWICZ

SO DARMO OTRZYMAŁIŚCIE...
15.10 **TVP POLONIA**
25 grudnia **KONCERT KOŁEJ**

FOT. MAREK KOWALSKI (2), POLFLYKAST NEWS, TYPEAST NEWS, ARCH. BAUER